

One Way Ticket

Czas: 28 V 11 – 04 VI 11

Skład ekipy: Marcin, Dziku, Tomek, Aga, Aneta.

Miejsce: Masyw Mont Blanc

W artykule schemat trasy oraz relacja z krótkiego, ale pełnego emocji wypadu w Alpy.

Na tym wyjeździe były dwa główne cele. Jeden to wejście kulwarem Y na szczyt Aig. d'Argentiere (3902 m. n.p.m.) a drugi to zdobycie Mont Blanc drogą od Aig. Du Midi. Ponieważ z powodu złych warunków atmosferycznych nie udało nam się zbytnio powalczyć o czterotysięcznik skupię się głównie na relacji z wyjścia aklimatyzacyjnego. Zresztą dla nas wyjście to kandyduje na przeżycie roku.

Po dojechaniu do miejscowości Argentiere ruszyliśmy w górę w kierunku schroniska d'Argentiere z zamiarem wejścia na szczyt d'Argentiere. Droga do schroniska wiedzie przez lodowiec o nazwie... tak, zgadza się – Glacier d'Argentiere.

Niestety tego dnia nie udaje nam się dojść do celu. Ciemna noc zastaje nas na środku lodowca. Tym samym Aneta, dla której jest to pierwsza tego typu wycieczka, ma dziś okazję nie tylko po raz pierwszy założyć raki i kluczyć między szczelinami, ale jakby na początek było jej mało atrakcji to ma jeszcze przyjemność spać na lodowcu.

Rano na spokojnie dochodzimy do schroniska. Wprawdzie w tym okresie jest ono nieczynne, ale część sypialna oraz jadalnia są udostępnione do użytku. Jesteśmy jedyną ekipą w tej części gór, więc przejmujemy budynek we władanie. Przez resztę dnia lenimy się i wygrzewamy na słońcu wśród motylków i spasionych świstaków.



W nocy wstajemy i o 2:45 szybkim tempem wyruszamy pod górę. Wcześniej jednak instruujemy Anetę, która nie była przygotowana na tego typu akcję i postanowiła zostać w schronie, jaki jest plan. Powiedzieliśmy, że wrócimy najpóźniej o 13-tej, ale powinniśmy trochę wcześniej. Najbardziej optymistyczne scenariusze wspominały nawet o 10-tej. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że uda nam się wrócić nawet niecałe 3 godziny przed godziną 10-tą. Tylko, że wieczorem...

Zatem dlaczego droga, która wprawnemu zespołowi mogłaby zająć 8 godzin nam zajęła ponad 16? Brak doświadczenia, brak sprzętu, brak rozeznania w terenie. My wszystkie te braki nadrobiliśmy pozytywnym nastawieniem i dobrym humorem.

Ale po kolei: za schroniskiem wchodzimy na skały i w świetle czołówek skaczemy po kamieniach szybko zdobywając wysokość. Po krótkim czasie wchodzimy na lodowiec Glacier des Amethystes. Wiążemy się w dwa zespoły i ostrym tempem posuwamy się w górę. Z ciemności dochodzi jeszcze do mnie mruknięcie dyszącej Agi: „no to wybrała się mała Agusia z trzema byczkami, no to ma...”. Faktycznie goniąc prowadzącego Marcina, wielokrotnego maratończyka, robi się z tego zabójczy rajd.

U podnóża kuluaru każdy łapie po dwa czekany w ręce i ruszamy. Wychodzi słońce i szybko się przejaśnia. Im więcej ukazuje nam światło dnia tym bardziej dociera do nas, że porwaliśmy się niczym z motyką na słońce. Poza Marcinem, który uzbrojony był w dziaby i obwieszony szpejem jak choinka, pozostała trójka miała sprzęt przydatny do zdobywania co najwyżej rysy na Rysach. A przed nami setki metrów o nachyleniu najmniej 50°.



Za prowadzenie od początku do końca zabrał się Marcin. Jako jedyny doświadczony w tego typu drogach sprawnie zakładał punkty asekuracyjne i pruł do góry. Jednak nie chcąc zostawiać drugiego zespołu, tzn. Agi i Tomka, postanowiliśmy, że punkty będą zbierać oni. Ze względu na to, że mieli oni jedynie 20 metrową linę i każdemu z nas brakowało wprawy i szybkości, wszystko zaczęło się niemiłosiernie wydłużać. Po kilkunastu wyciągach nie wyglądało, żebyśmy byli nawet w połowie drogi. Powoli do kuluaru zaczęło zaglądać słońce. Lód zaczął się topić a z okolicznych ścian zaczęły spadać kamienie. Jakby tego było mało, w tym pośpiechu wybraliśmy złą drogę i wpakowaliśmy się w ślepy zaułek zakończony kilkumetrową, pionową ścianą lodu. Tam podjęliśmy jedyną możliwą decyzję – o zjeździe do miejsca, w którym zboczyliśmy z właściwego toru kuluaru. Ta pomyłka, czyli wejście w ślepa uliczkę i zjazd kilka wyciągów na tym szczytkowym sprzęcie, który mieliśmy, kosztował nas kolejne 3 godziny! Oprócz straty czasu uświadomiło nam to też kilka faktów. Mianowicie nie było mowy o wycofaniu czyli zjeździe do podnóża kuluaru. Szpej, jaki nam pozostał pozwalał na zakładanie stanowisk i ich zbieranie podczas wspinaczki, ale nie było mowy o zostawianiu taśm czy karabinków podczas zjazdu. Zresztą wiedzieliśmy, że w wielu miejscach nie będzie możliwości założenia nawet jakiegokolwiek stanowiska.

Gdy dotarliśmy do właściwej drogi usłyszałem, jak Marcin nazywa sprawę po imieniu – „To już nie jest walka z czasem, teraz to walka o życie”. Ale my już zdawaliśmy sobie z tego sprawę wcześniej. Chociażby wtedy, kiedy przy jednym ze zjazdów cienki repsznur, do którego zaczepiona była lina zaczął się przecierać na ostrej krawędzi kamienia. Widząc to Tomek odciął pasek od plecaka Agi i podłożył w najbardziej

niepewne miejsce. Potem oboje musieli zaufać tej prowizorce i zjechać do mnie i Marcina.

Popatrzyliśmy na drogę w dół i – wbrew naturalnemu instynktowi – jednogłośnie stwierdziliśmy, że nasza jedyna droga powrotna wiedzie przez szczyt. Od tego momentu granica dzieląca nas od słońca przybliżała się do nas w tempie ekspresowym. Coraz bardziej przytuleni do skał w prawej części kuluaru brnęliśmy w coraz większej śnieżnej brei do góry. Początkowo lekko muskając jasne słoneczne światło, potem z jednym ramieniem oświetlonym, a następnie w pełnym słońcu człapaliśmy krok po kroczku i próbowaliśmy liczyć, ile to mogło jeszcze pozostać wyciągów. Od 10 godzin nie odpoczywaliśmy. Nie było nawet jak stanąć ani usiąść chociażby na chwilę. Aga, która szła jako ostatnia przed oczami miała ciągle nasze drgające ze zmęczenia łydki. Od momentu dotarcia do nas słońca każdemu krokowi towarzyszyło lekkie obsunięcie się z mokrym śniegiem w dół. Jednak posuwanie się z uporem centymetr po centymetrze musiało dać efekty. O godzinie 15-tej widzimy, że Marcin dochodzi do grani. W tym momencie słyszymy też warkot helikoptera. Widzimy jak leci do podnóża kuluaru i następnie wzdłuż niego pruje do góry – prosto do nas. Nie mamy wątpliwości, że śmigłowiec – zresztą zgodnie z tym, jak się umawialiśmy – wezwała Aneta. Nie mając od nas żadnej informacji o umówionej porze powiadomiła przez radio ratowników. Od powiadomienia w ciągu zaledwie parunastu minut helikopter wisiał już nad naszymi głowami. Od tego momentu napięcie mnie opuściło. Moją największą troską od dłuższego czasu było to, żeby w jakiś sposób powiadomić Anetę, że żyjemy. Teraz ratownicy wiedzą gdzie jesteśmy, za chwilę wylądują na dachu schroniska i powiedzą o tym Anecie. Pokazujemy, że u nas wszystko w porządku i ze zdwojoną siłą zabieramy się do pokonania ostatniego odcinka. Wkrótce wszyscy siadamy na kamieniach na grani. Wreszcie na kawałeczku płaskiego terenu! Po paru minutach ruszamy po nawisach na szczyt. Stajemy na nim o 16-tej. Po 13-tu godzinach walki. Widoki przepiękne. Przed nami same 3 i 4-tysięczniki. Zza grani Aig. Verte i Les Droites

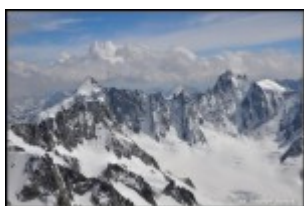
wystaje biała kopuła Mont Blanc.



Wreszcie zasłużony odpoczynek, kostka czekolady i łyk herbaty. A potem zejście z grani na lodowiec Milieu... po 45 stopniowym nachyleniu! Ale byle jak najszybciej na dół. Uważając, żeby nie polecieć z lawiną schodzimy najszybciej jak możemy. W pewnym momencie Aga traci równowagę i stacza się na dół. Wpada na Tomka i lecą oboje. Wszyscy rzucają się na czekany. Wyhamowaliśmy i teraz rozciągamy się w poprzek stoku. Nie chcemy, by przy ponownym upadku osoba z tyłu miała możliwość wpadnięcia na osobę przed nią. Im niżej tym więcej szczelin. Przeskakujemy największą widoczną a potem prujemy po zagłębieniach w powierzchni lodowca. Momentami stoję na mokrym, ciężkim śniegu i słyszę, jak pode mną płynie strumień. Myślę tylko o tym, żeby być już na piargach, na dole. Przy zejściu z lodowca jednak mamy jeszcze trochę kłopotów z odnalezieniem drogi. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Ale są pierwsze skały. Siadamy na chwilę. Rozplątujemy się z lin i sprzętu. Każdy zagarnia, co ma pod ręką i idzie w kierunku schronu. Ktoś zostawia czekan, ktoś inny go zabiera. Wszystko nieważne, byleby ściągnąć buty i pójść spać.

O godzinie 19-tej Aneta ze łzami w oczach wita pierwszych powracających. A ja chyba nigdy wcześniej nie nauczyłem się tyle jednego dnia, co tam w tym kuluarze „Y”.

– END –



Min / max altitude: 2770m / 3901m

Elevation gain / loss: +1130m

Difficulties length: 450m

Configuration: couloir

Main facing: SE

Route type: return trip / abseil down

Duration: 1 day

Slope: 50°

Global rating: AD

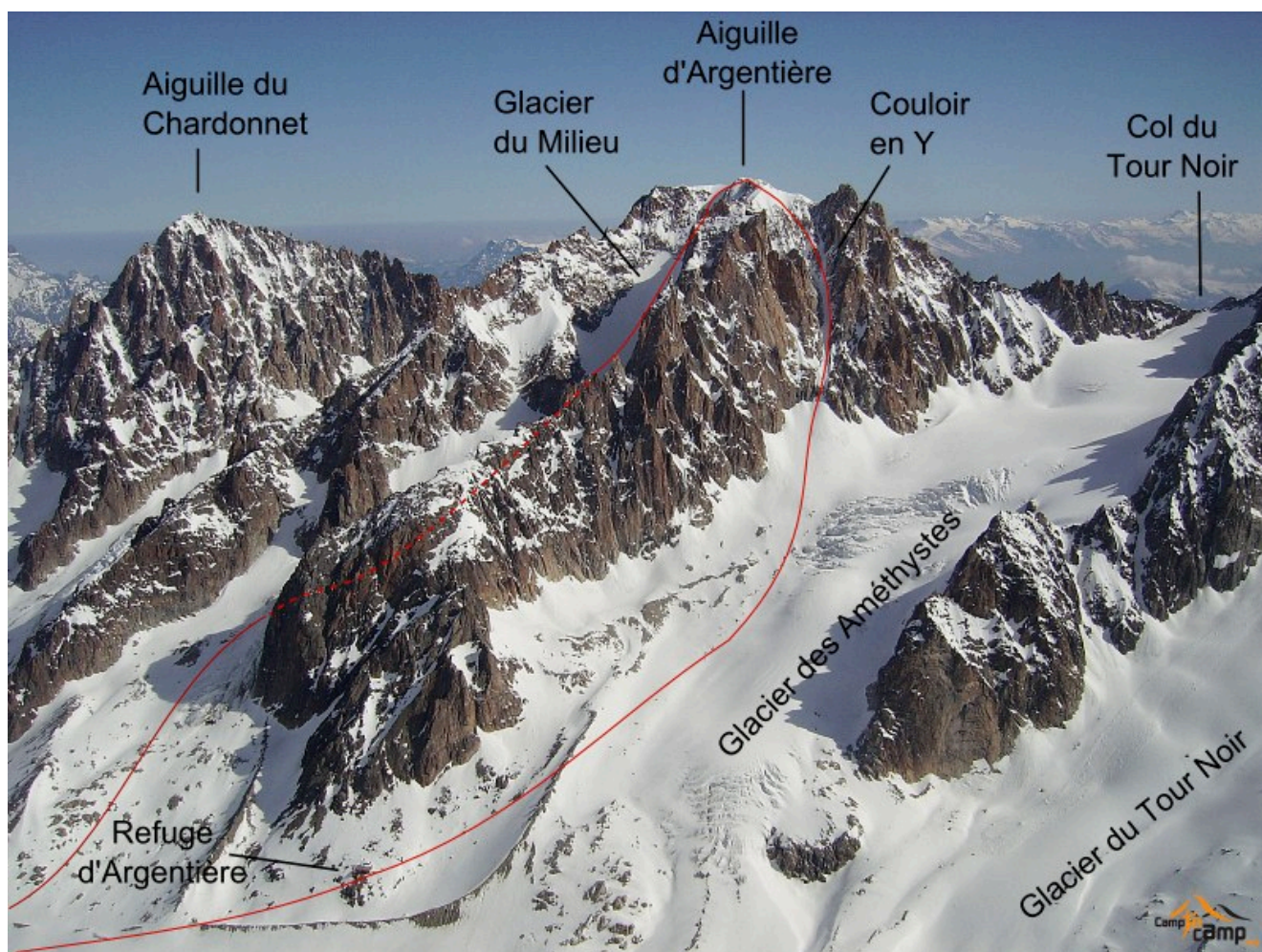
Commitment grade: III

Toponeige technical grade: 5.2

Toponeige exposure grade: E3

Labande descent grade: S5

Labande global grade: TD



to zdjęcie zapożyczyłem ze strony <http://www.camptocamp.org/>